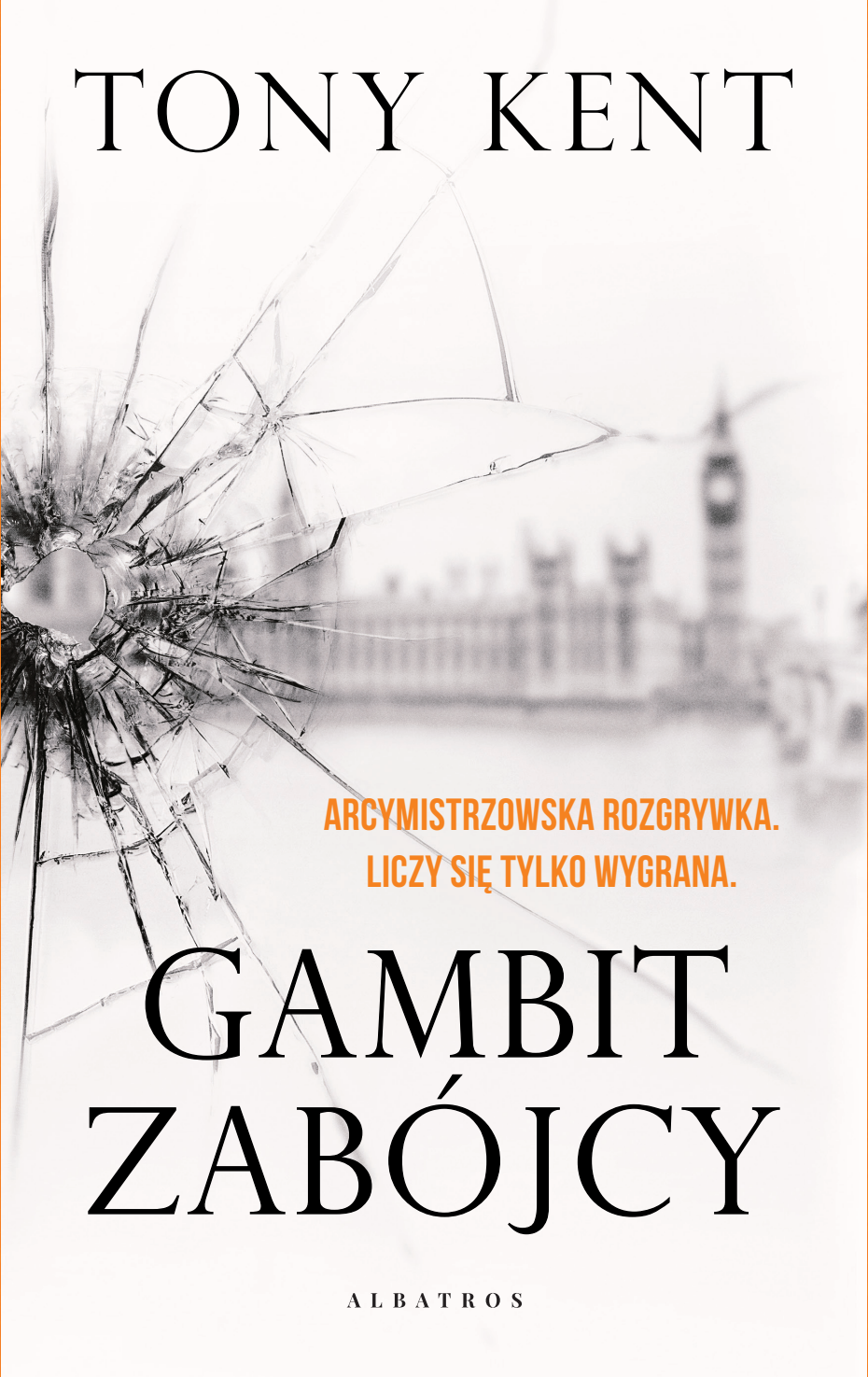




TONY KENT

ARCYMISTRZOWSKA ROZGRYWKA.
LICZY SIĘ TYLKO WYGRANA.

GAMBIT
ZABÓJCY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE KILLER INTENT

Copyright © Tony Kent 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2021

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki oryginalnej: kidethic.com

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

JEDEN

JOSHUA POCZUŁ PRZYPIŁYW ADRENALINY, gdy spojrział w dół na plac. Zajmował pozycję na wysokości sześćdziesięciu metrów, na wieży kościoła z epoki regencji. Z tego miejsca widział każdy zatłoczony centymetr kwadratowy. Narastało w nim znajome wrażenie kontrolowanego podniecenia. Stały element, który towarzyszył realizacji wszystkich zleceń. Właśnie po to żył.

Widział każdy szczegół przez lunetę karabinu. Chłonał informacje, poświęcając czas na wypatrywanie przeszkód, które mogły pokrzyżować mu plany. Profesjonalista mniejszego formatu robiłby to znacznie dłużej. Joshua był wyjątkowo utalentowany.

Odsunął głowę od lunety. Wiedział już wszystko, czego mógł się dowiedzieć. Powiódł wzrokiem po nieprzebranych tłumie. Zdumiał go, nie po raz pierwszy, wybór akurat tego miejsca. Dostrzegał tutaj wpływ myślenia politycznego. Gdzie indziej miałyby się odbyć obchody ku czci brytyjskich bohaterów niedawnych wojen na Bliskim Wschodzie, jeśli nie na Trafalgar Square, będącym londyńskim monumentem militarnej chwały? Ale waga wydźwięku historycznego nijak się miała do koszmaru, jakim było zapewnienie bezpieczeństwa uczestnikom zgromadzenia.

Joshua wykrzywił usta w ponurym uśmiechu, patrząc na panujący w dole chaos. Teren obstawiały najlepsze agencje,

ale ten fakt nie umniejszał problemów związanych z zagwarantowaniem ochrony. A wszelkie problemy, z jakimi musieli się mierzyć agenci, działały na jego korzyść. W tej chwili tych problemów było mnóstwo.

Chwycił karabin. Leciutko uniósł lufę i znowu spojrzał przez lunetę. Przyjrzał się okolicznym dachom i w niespełna minutę namierzył dziewiętnastu snajperów. To, że zdołał tego dokonać tak szybko, należało do rzadkości. Może nawet było wyjątkowe, ale przecież to samo określenie pasowało do obecnego zlecenia. Wszystkie inne zadania w jego długiej karierze miały wspólną cechę: wymagały znalezienia kryjówki, z której będzie mógł oddać strzał. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiał być na widoku. Gdyby tego nie zrobił, każdy z pozostałych dziewiętnastu snajperów zacząłby się zastanawiać, gdzie się podział dwudziesty.

DWA

JOE DEMPSEY STAŁ PRZY OKNIE budynku oddalonego niespełna czterysta metrów od placu. Miał stamtąd widok równie dobry jak Joshua, ale był w zdecydowanie innym nastroju niż snajper.

Dempsey przez połowę życia zajmował się identyfikacją i neutralizowaniem zagrożeń. Jego praca polegała na przewidywaniu tego, co niespodziewane. Na wyobrażaniu sobie tego, co niewyobrażalne. Osiemnaście takich lat odcisnęłoby piętno na każdym i on nie stanowił wyjątku. Wszędzie doszukiwał się zagrożeń. Czasami się zastanawiał, czy to efekt szkolenia, czy po prostu skutek paranoi. Ale dziś nie martwiły go te wątpliwości. Dziś niebezpieczeństwo było bardzo realne.

Jego rozmyślania przerwał cichy głos z wyraźnym edynburskim zaśpiewem:

– Zakładam, że z dołu wcale nie wygląda to lepiej, prawda?

Dempsey odwrócił się w stronę mówiącego.

Callum McGregor siedział przy jedynym biurku w pokoju. Dyrektor Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego był istnym kolosem – prawie dwa metry wzrostu i sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi. Puste biurko wydawało się przy nim miniaturowe.

Dempsey podszedł do niego bez słowa. Sam nie był

chuderlakiem, ale poruszał się lekko i zwinnie. Przysunął krzesło przed biurko i usiadł, nie czekając na pozwolenie. Spojrzał McGregorowi prosto w oczy.

– Nie będzie lepiej, Callum. Nie damy rady kontrolować zatłoczonej przestrzeni tej wielkości.

Miał bardziej szorstki głos niż McGregor, mniej wyrafinowany, bardziej intensywny. I nic dziwnego – głos McGregora był głosem dyplomaty. Dempsey był zmorą dyplomatów.

– Wiesz, Joe, akurat tego nie musisz mi mówić. Ale to niczego nie zmienia. Zrobimy, co w naszej mocy, dysponując tym, co mamy.

– To, co mamy, nie wystarczy.

Obcesowa odpowiedź Dempseya nie oznaczała niesubordynacji. Wprawdzie McGregor był jego przełożonym, ale też przyjacielem. Darzyli się wzajemnym szacunkiem i zaufaniem, co niwelowało różnicę rangi.

– Chodzi nie tylko o liczby – dodał. – Mamy tam siedem różnych agencji. Wszystkie pracują niezależnie od siebie. Bóg jeden wie, dlaczego potrzebujemy aż tylu. Gdybyśmy ograniczyli się do jednej, operacja byłaby skoordynowana jak trzeba.

– Amerykanie nigdy nie przekazaliby nam ochrony prezydenta Knowlesa. Zostało to ustalone jeszcze przed groźbami pod adresem Thompsona.

McGregor nie mówił niczego nowego.

– I nie pozwalamy, żeby robili to sami – ciągnął. – Nie możemy ryzykować, że któremuś z najważniejszych VIP-ów, prezydentowi albo byłemu prezydentowi, stanie się jakaś krzywda na brytyjskiej ziemi. Co oznaczało zbyt wiele kucharek w jednej kuchni, jeszcze zanim nasze agencje zaczęły się między sobą przepychać, bo każda chciała tu być. Biorąc to wszystko pod uwagę, bałagan mógł być znacznie większy.

Dempsey odchylił się na krześle. Irytował się, ilekroć

McGregor miał rację. A zwykle miał. Ale samo wyjaśnienie, dlaczego jest tak, a nie inaczej, wcale nie ułatwiało pogodzenia się z faktami. Wydarzenie tej miary, z udziałem byłego i obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych? Byłoby koszmarem pod względem zabezpieczenia nawet wtedy, gdyby nie mieli na głowie brytyjskich polityków – a ci stawiają się tłumnie, chętni wykorzystać okazję do autoreklamy.

Jeśli jakiś terrorysta postanowi dzisiaj zaatakować, pomyślał Dempsey, trzeba będzie cudu, żeby go powstrzymać.

Myśl ulotniła się bez śladu, gdy usłyszał głos w słuchawce.

– Prezydent opuścił Pokój Muzyczny. Bambus rusza za dziewięć minut. Na mój znak. Trzy, dwa, jeden, znak.

Amerykańska Secret Service ochraniała amerykańskich prezydentów, również byłych, od ponad stulecia. W tym czasie jej agenci doprowadzili swoje metody do perfekcji. Wystarczyły cztery krótkie zdania, żeby postawić wszystkich w stan gotowości.

Rozpoczęło się odliczanie.

Dempsey zsynchronizował zegarek, gdy usłyszał w słuchawce słowo „znak”. McGregor zrobił to samo. Obaj uczestniczyli w większej liczbie akcji niż przeciętny pluton piechoty. Kierowali tajnymi misjami we wszystkich zakątkach świata. W porównaniu z tamtymi operacjami dzisiejsze zadanie przypominało spacer po parku. Mimo to Dempseya nękały złe przeczucia.

Wstał. Po wojskowemu prosty jak trzcina, w pełni wykorzystywał swoje sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Wzrost w połączeniu z potężną budową, widoczną nawet wtedy, gdy Dempsey miał na sobie garnitur, nadawał mu onieśmielający wygląd. Wizerunku dopełniały ciemne, przenikliwe oczy, osadzone głęboko w twarzy, która nosiła ślady niebezpiecznego życia. Nie wyglądał odpychająco, do tego było mu daleko, ale gdy tylko chciał, potrafił budzić lęk.

Te ciemne oczy spjrzały teraz na McGregora. Słowa nie

były potrzebne. Zatroskana twarz dyrektora mówiła sama za siebie.

Może jednak Dempsey nie był jedyną osobą, która żywiła poważne obawy.

TRZY

– PREZYDENT OPUŚCIŁ POKÓJ MUZYCZNY. Bambus rusza za dziewięć minut. Na mój znak. Trzy, dwa, jeden, znak.

Joshua nie mógł określić amerykańskiego akcentu, który brzmiał w jego uchu. Wschodnie Wybrzeże, ale gdzie dokładnie? Drobnie niepowodzenie zirytowało go bardziej, niż powinno. Miliony ludzi na świecie podzielały jego obsesję na punkcie szczegółów, kontroli i procedur. Dla większości była ona wyniszczająca. Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne mogą zrujnować życie. Dla Joshui było to coś innego. W jego fachu umiejętność dostrzegania detali mogła oznaczać różnicę między życiem i śmiercią. W tym świecie nerwica natręctw pomogła stworzyć zabójcę doskonałego.

Spojrzał na zegarek, gdy usłyszał słowo „znak”. Czuł wyładowania synaps, spowodowane przez kolejny skok uzależniającej adrenaliny. Informacja z sekcji zajmującej się bezpośrednią ochroną głowy państwa sprawiła, że natychmiast się skoncentrował. Dokładnie za dziewięć minut kolumna prezydencka opuści teren pałacu Buckingham. Następnie ruszy The Mall i zjawi się na Trafalgar Square za niespełna pół godziny. Jak zawsze Secret Service funkcjonowała niczym szwajcarski zegarek.

Podobnie jak Joshua. Skutki działania adrenaliny różnią się w zależności od osoby. U większości sprowadzają się do

dokonania wyboru: walczyć albo uciekać. U innych – mniej licznych – powodują paraliżujący strach. U jeszcze mniej licznych prowadzą do zimnej jasności myśli. Czas zdaje się zwalniać. Każde działanie jest starannie przemyślane. Skalkulowane. Zabójcze. Wielu ludzi nazwałoby to socjopatią – albo i gorzej. Joshua nazywał to profesjonalizmem.

Właśnie ten profesjonalizm przejął teraz nad nim kontrolę. Płynnym ruchem lunety Joshua omiółł szczyty dachów. Zrobił to po raz siódmy i ostatni. Ta liczba od dawna zapewniała mu komfort psychiczny. Siedem razy zlustrował otoczenie. Siedem razy potwierdził, że cały zespół snajperów jest na miejscu, że wszyscy są tam, gdzie powinni. Razem pod różnymi kątami osłaniali Trafalgar Square. Ale obecność tamtych dziewiętnastu nie miała znaczenia. Dziś będzie się liczyć tylko jeden snajper.

On.

Był to kolejny szczegół idealnie zaplanowany przez jego zleceniodawcę. W tym czasie Joshua niczego innego nie oczekiwał. Zebrany naprędce dwudziestoosobowy zespół snajperów był wynikiem politycznego przeciągania liny. Jedna połowa pochodziła z Secret Service, z jednostki do walki ze snajperami, a drugą stanowił kontyngent brytyjski. Pięć osób z Dowództwa Ochrony. Pięć z Dowództwa Operacji Antyterrorystycznych. Przynajmniej taki był plan.

O jedenastej Joshua zastąpił agenta z Operacji Antyterrorystycznych. Powstrzymał się od pytania, jak umożliwiono taką podmianę. Jasne, chciał wiedzieć. I może pewnego dnia się dowie. Ale na dzisiaj musiało mu wystarczyć to, że stał się częścią tego samego zespołu, który miał za zadanie go powstrzymać. W ciągu wielu lat kariery wykorzystywał rozmaite sposoby, żeby znaleźć się blisko swoich celów. Żadna z tamtych sytuacji nie ociekała ironią tak jak ta.

Skierował lunetę na plac. Minęło trzydzieści minut, odkąd po raz pierwszy spojrzał w dół. W tym czasie liczba osób

w obrębie barierek, które odgradzały zaproszonych gości od zwyczajnych widzów, zdążyła się potroić. Wszystkie miejsca zostały zajęte. Dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci cierpliwie prażyło się w nietypowym jak na październik słońcu.

Jeśli chodziło o niego, równie dobrze mogło tam być dziesięć tysięcy ludzi. Albo jedynie dziesięcioro. Interesowała go tylko jedna osoba.

Niewysoki, żylasty mężczyzna w podniszczonym tweedowym garniturze siedział przy samym przejściu dwadzieścia trzy rzędy od sceny, dokładnie tam, gdzie zapowiedział zleceniodawca. Kolumna prezydencka przybędzie dopiero za dziesięć minut, ale jego cel już znajdował się na miejscu. Od tej chwili Joshua nie spuści z niego oka.

CZTERY

– NA PEWNO MASZ DOBRY WIDOK?

Sara Truman zadała to pytanie chyba po raz dziesiąty w ciągu dziesięciu minut.

– Tak dobry, jak każdy w obrębie barierek – odparł Jack Maguire. – Chcesz mieć lepszy, musisz wejść wyżej. Czyli wyjść na zewnątrz.

Ruchem głowy wskazał okoliczne dachy, a Sara ogarnęła je spojrzeniem. Przez chwilę rozważała dostępne możliwości. Na wieży pobliskiego kościoła był widoczny snajper. To przypominało, że wszystkie wysokie budynki są niedostępne.

Popatrzyła na Maguire’a.

– Jesteśmy trochę z boku. Czy ujęcie nie byłoby lepsze, gdybyśmy zajęli miejsce na wprost sceny?

– Z pewnością. Z widokiem na tyły głów – odparł Maguire z uśmiechem.

Potrafił zrozumieć obawy Sary. Dla niej ten dzień miał o wiele większe znaczenie niż dla niego. Pierwsze ważne zadanie, jakie dostała w CNN. Martwiłby się, gdyby nie była zdenerwowana.

– Gotowa na próbę? – zapytał, ustawiając ostrość.

– Jak nigdy.

Poznał, że jej szeroki uśmiech jest wymuszony. Że maskuje niepokój. Pewnie ściska ją w dołku, pomyślał. Ale

da sobie radę.

Sara szybko dowiodła, że miał rację. Ściągnęła frotkę ze schludnego końskiego ogona, uwalniając gęszcz długich brązowych włosów, i przegarnęła je palcami. Robiła to przed każdym ujęciem. Był to przesądny zwyczaj, niemal równie bezsensowny jak królicza łapka czy czterolistna koniczyna, ale ułatwiał jej przemianę z osoby „spoza kamery” w tę „na pierwszym planie”.

Ustawiła się przed kamerą.

– Zaczynamy.

Maguire uśmiechnął się szerzej. Od lat pracował z reporterami telewizyjnymi i aktorami. Przywykł do ich narcyzmu i stracił rachubę, ile ujęć zmarnował, gdy „gwiazda” domagała się poprawienia makijażu. Ale ostatnie dwa lata wyglądały inaczej. Nie dlatego, że na Sarze nie warto było zawiesić oka. Wysoka, szczupła Amerykanka na swój sposób była atrakcyjna jak każda inna kobieta, której kiedykolwiek partnerował. Nie zaliczała się do klasycznych piękności, to pewne, ale może właśnie to działało na jej korzyść. I w przeciwieństwie do innych nie miała w sobie nawet odrobiny próżności, przynajmniej jego zdaniem.

Po zakończeniu rytuału Sara się ożywiła, ukrywając treść za naturalnym uśmiechem i w głębi błyszczących zielonych oczu. Maguire promieniał z dumy.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytała.

– Z niczego. Dalej, zaczynamy.

Maguire ostatni raz poprawił ostrość, po czym pokazał Sarze uniesione kciuki. Sygnał, żeby zacząć.

– Jesteśmy na londyńskim Trafalgar Square, gdzie niebawem przybędą wielcy tego świata, żeby upamiętnić poświęcenie tysięcy Brytyjczyków i Brytyjek, którzy uczestniczyli w ponaddziesięcioletnich działaniach wojennych w Afganistanie i Iraku. W czasie gdy siły zbrojne Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńcy przygotowują się do zrewidowania swoich priorytetów i sposobu ich realizacji,

zebraliśmy się tu dzisiaj po to, by podziękować tym, którzy już wrócili do domu. I tym, którzy złożyli największą ofiarę w obronie naszego stylu życia. Optyka wojny z terroryzmem na Bliskim Wschodzie ulega obecnie zmianie, może więc nadeszła pora na podsumowanie tego, co zostało osiągnięte w ciągu lat brutalnego konfliktu. I na oddanie hołdu tym dzielnym żołnierzom, którzy przez długi czas toczyli bohaterską walkę. Teraz, czekając na...

Słowa Sary ucichły, zagłuszone przez okrzyki dobiegające z południowo-wschodniego krańca Trafalgar Square. To mogło oznaczać tylko jedno. Przybyła kolumna prezydencka.

PIĘĆ

– BAMBUS ZBLIŻA SIĘ DO ŁUKU. Dyliżans na godzinie trzeciej, Niezależny, Najemnik, Samba i Sokół na pokładzie. Na godzinie czwartej Fotka i Foka w Pomocniku, z Winoroślą i Wojownikiem.

Dempsey spojrział na zegarek. Minęło dwanaście minut od komunikatu, który odebrał w biurze McGregora. Tamta wiadomość wyznaczyła początek odliczania. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem, niemal co do sekundy. Dempsey z podziwem pokręcił głową.

Ci Amerykanie są cholernie dobrzy.

Nie mógł jednak pozwolić, żeby sprawność Secret Service uśpiła jego czujność albo wprawiła go w samozadowolenie. Na razie był pod wrażeniem, ale wiedział, że musi się mieć na baczności. Jeśli straci koncentrację, ktoś może zapłacić życiem. Znał to z własnego gorzkiego doświadczenia.

Spojrzał w kierunku swoich dziewięciu agentów. Tworzyli zespół Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Starannie wybrani mężczyźni i kobiety z wybitnymi osiągnięciami. Żołnierze. Policjanci. Członkowie wywiadu. Byli najlepszymi z najlepszych. Dość wyjątkowi, żeby przyciągnąć uwagę Calluma McGregora. Dość twardzi, żeby przejść selekcję WBW. Dempsey nie szafował zaufaniem, ale każdy członek tego zespołu w pełni sobie na nie zasłużył.

Dziewięciu agentów znajdowało się dokładnie tam, gdzie powinno. Samotne postacie zajmowały stanowiska na końcu każdego przejścia, na ziemi niczyjej między tłumem i sceną. Każdy miał elegancki, czarny dwuczęściowy garnitur albo kostium, nieskazitelnie białą koszulę i wąski czarny krawat. Obrazu dopełniały obowiązkowe czarne okulary przeciwsłoneczne. Każdy z nich mógłby uchodzić za statystę z hollywoodzkiego filmu. Tylko wyraźne wybrzuszenie między lewą stroną piersi i pachą marynarki mówiło co innego. Ci tutaj byli prawdziwi.

Nie żeby Dempsey w to wątpił. Był głęboko przekonany, że każdy z nich wypełni swój obowiązek. Będą działać zgodnie ze szkoleniem, które przeszli w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Dziś na placu było dziesięć przejść, jedyne trasy w morzu krzeseł, które zapełniały całkowicie otwartą zwykle przestrzeń. Agenci pilnowali dziewięciu z nich. Dziesiąte – jeszcze nieobsadzone – było inne. Tamtędy wejdą VIP-y; to będzie ich trasa na scenę. Jeśli coś ma się zdarzyć, to najprawdopodobniej tam. I dlatego było to przejście Dempseya.

Zadanie wymagało od niego więcej, niż oczekiwał od swoich agentów. Ich obowiązki były proste. Stać w miejscu. Bez ruchu, ale czujnie. Mieć oczy dookoła głowy. Jego rola była bardziej skomplikowana. Potem będzie robić to co oni, ale najpierw musi przeprowadzić VIP-ów od wejścia do sceny.

Wydawało się to łatwe. Zawsze tak to brzmi.

Dempsey słyszał w słuchawce informacje dotyczące lokalizacji kawalkady prezydenckiej. Był to amerykański styl myślenia: „Wywiad jest wszystkim”. Jeśli znasz każdy szczegół, każdy ruch, nic nie może pójść źle. Sam był innego zdania. Nic nigdy nie jest takie proste.

Podszedł do strzeżonego wejścia na północno-zachodnim krańcu czworoboku dla gości i zajął pozycję. Stąd miał ograniczony widok z powodu barierek otaczających

wydzieloną część placu. Ogrodzenie stanowiło konieczny środek bezpieczeństwa. Ale w polityce nawet konieczność czasami jest ukryta. Dwa tysiące gości zasiadało w odizolowanej przestrzeni. Miliony innych nie miały takiego szczęścia. Zadanie barykady polegało na zatrzymaniu ich na zewnątrz. Ale każdy jeden z tych zwykłych zjadaczy chleba był zarejestrowanym wyborcą, co wymagało zachowania niezbędnych pozorów. Na barierkach rozpięto setki metrów niebieskich aksamitnych zasłon. Z powodu wykładziny, sceny na północnym krańcu i dwóch tysięcy stojących naprzeciwko niej krzeseł Trafalgar Square przywodził na myśl kolosalną salę konferencyjną. Te zabiegi miały na celu zwieść szarych obywateli. Ukryć fakt, że tylko wybrancom wolno przebywać wewnątrz.

Iluzja spełniała swoją funkcję. Świadczył o tym wszechobecny hałas. Przez bramkę do wykrywania metalu, która stanowiła miejsce dostępu z zewnątrz do środka czworoboku, Dempsey dostrzegł nadciągającą kolumnę prezydencką. Jak na ironię, było to coś, czego nie musiał widzieć. Przyjazd zapowiedziały ogłuszające okrzyki wyrażające nieklamany entuzjazm. Dempsey wiedział, że owacje są przeznaczone tylko dla dwóch polityków. Już same dźwięki upewniły go, że obaj właśnie przybyli.

Skierował spojrzenie w drugą stronę, ku scenie obramowanej łukiem. Widok był ograniczony, ale wystarczający. Wydawało się niemożliwe, by okrzyki tłumu mogły stać się jeszcze głośniejsze. Ale do tego właśnie doszło, w chwili gdy Dempsey zobaczył, że kolumna samochodów – opatrzona przez Secret Service kryptonimem Bambus – podpełza do strzeżonego wejścia.

Bambus pokonał niewielką odległość z pałacu Buckingham w tempie nieśpiesznego biegu. Ośmiu agentów z ochrony prezydenckiej biegło przy każdym aucie. Żaden z nich się nie spocił. Stanowili przykład nadzwyczajnego przygotowania fizycznego. Samo to powinno sprawić, by

Dempsey poczuł się bezpiecznie. Powinno, ale nie sprawiło.

Głos w uchu poinformował go, że prezydencka limuzyna – kryptonim Dylizans – jest trzecim pojazdem w kawalkadzie. Dempsey już to wiedział. Patrzył, jak samochód zatrzymuje się przed wejściem. Po chwili pasażerowie zaczęli wysiadać.

Wyraźny ciężar tylnych drzwi sugerował rozmiar modyfikacji wprowadzonych w limuzynie 2009 Cadillac. Dempsey po raz pierwszy widział ten legendarny pojazd z bliska. Na pierwszy rzut oka nic w nim nie wydawało się przesadnie niezwykle. Gdyby nie był lepiej poinformowany, nie mógłby zrozumieć, dlaczego potocznie mówiono na niego Bestia. Pojazd ważył więcej niż przeciętna śmieciarka i miał wysokiej klasy dwunastocentymetrowy pancerz, który mógł wytrzymać bezpośrednie trafienie z ręcznego wyrzutnika granatów. Odporne na przebicie opony pozwalały na osiągnięcie maksymalnej prędkości niezależnie od kondycji kół. Wnętrze chroniły pancerne szyby, tak grube, że naturalne światło z trudem się tam wsączało. Był to niemal bunkier atomowy na kołach. Siedzący w środku prezydent był całkowicie bezpieczny. Gdyby tylko ten sam poziom bezpieczeństwa mógł mu zagwarantować Trafalgar Square.

Grupa agentów Secret Service szczelnie otoczyła Dylizans, zanim koła przestały się obracać. Dempsey znowu miał zasłonięty widok, chociaż teraz też w zasadzie nie musiał nic widzieć – ryk tłumu upewnił go, że prezydent Stanów Zjednoczonych, John Knowles, i pierwsza dama, Veronica – kryptonimy Niezależny i Najemnik – wysiedli z limuzyny. Dempsey wiedział, że towarzyszy im premier Wielkiej Brytanii William Davies z małżonką, Elizabeth. Samba i Sokół według określeń Secret Service.

Wszyscy czworo byli teraz w rękach najlepszych ludzi z sekcji ochrony prezydenckiej. Mieli w nich pozostać, dopóki nie przestąpią progu wydzielonego kwadratu. Dopiero wtedy obowiązek ochrony spadnie na Dempseya.

Nie stało się to od razu. Mijały minuty, gdy Knowles

przyjmował owacje, a Davies – przywódca znacznie mniej popularny – pлавił się w blasku jego sławy. Dempsey mógł tylko czekać i patrzeć, jak Secret Service wykonuje swoją robotę.

Obserwowanie Amerykanów w akcji było lekcją poglądową na temat tego, jak to się powinno robić. W przeciwieństwie do zatrudnianych przez celebrytów przerośniętych goryli, którzy nie spuszczaają oka z gwiazdy wypłacającej im pensję, agenci prezydenta Knowlesa zachowywali się o wiele dyskretniej. Może nie spektakularnie, ale na pewno sprawnie. Patrzyli tam, gdzie powinni. Bezustannie omiatali wzrokiem tłum, nie zatrzymując oczu na Knowlesie. Ich zadanie polegało na wypatrywaniu zagrożenia. Wyłączając samobójstwo, było mało prawdopodobne, że jego źródłem będzie sam prezydent.

Mijały minuty i nic nie wskazywało na to, że okrzyki ucichną. Ten stan rzeczy niepokoił Dempseya. Bardzo niepokoił. Przebywając poza wydzieloną przestrzenią, VIP-y nie podlegały jego ochronie. To oznaczało, że – na razie – nic nie może dla nich zrobić. Dla człowieka, który opierał swoje życie na poczuciu samodzielności i całkowitej kontroli, podobna niemoc była najzwyczajniej nie do zniesienia. A tego dnia wszystko odbiegało daleko od zwyczajności. Dempsey czuł pulsowanie długiej na piętnaście centymetrów blizny na lewym policzku. Wyraźny znak, że skoczyło mu ciśnienie.

Jego czas nadszedł bez ostrzeżenia. Podczas gdy tłum wiwatował, prezydent Knowles w końcu obrócił się na pięcie i wmaszerował na plac. Dempsey cofnął się o krok. Wyprężony jak struna, zasalutował elegancko. Knowles – były żołnierz piechoty morskiej, a obecnie głównodowodzący sił zbrojnych swojego kraju – odwzajemnił pozdrowienie. William Davies – niepopularny premier Wielkiej Brytanii – tego nie zrobił.

Dempsey odwrócił się, żeby ruszyć w kierunku sceny.

Wcześniej zamarł, gdy nagle stanął twarzą w twarz z Knowlesem. Prezydent Stanów Zjednoczonych był człowiekiem, który wzbudzał w nim wielki podziw, ale Dempsey nie spodziewał się, jaki efekt wywrze na nim to spotkanie. Okazało się, że naprawdę wielki – mimo to jego dekoncentracja trwała nie dłużej niż parę sekund. Oderwał wzrok od najślawniejszej twarzy na świecie. Miał robotę do wykonania, na czele prezydenckiej świty.

Odległość do sceny wynosiła nie więcej niż sto metrów. Przebycie tego dystansu zajęło całe trzy minuty. Ludzie wstawali. Napierali. Wyciągali ręce. Wiwatowali. Łącznie dwa tysiące osób. Dempsey robił wszystko, co mógł, żeby trzymać ich na dystans, gdy grupa VIP-ów zmierzała ku scenie. Eskorta otaczająca Knowlesa pomagała. Sam prezydent nie chciał współpracować. Zdawało się, że wymienia uściski dłoni ze wszystkimi mijanymi osobami. To sprawiało, że każdy krok był wysiłkiem, a każdy metr osiągnięciem. Męka zakończyła się dopiero wtedy, gdy dotarli do schodów prowadzących na podwyższenie. Wówczas Dempsey mógł się wreszcie odsunąć.

Patrzył, jak dygnitarze wchodzą po ośmiu stopniach na scenę – każde witały entuzjastyczne okrzyki tłumu. Żaden nie brał pod uwagę niebezpieczeństwa, które mogło gdzieś na niego czyhać. Nawet były prezydent Howard Thompson, który, jak Dempsey wiedział, z pewnością miał w pamięci konkretne groźby wysłane pod jego adresem.

Ale przecież politycy nigdy nie martwią się o takie rzeczy. Troska o ich bezpieczeństwo należała do kogoś innego. Do niego.

Dempsey zajął miejsce na początku swojego przejścia. Pierwsze zadanie zostało wzorowo wykonane. Powinien czuć się lepiej. Powinien zyskać pewność siebie. Z jakiegoś powodu jednak niepokój narastał. Coś było nie w porządku. Coś, czego nie potrafił wskazać palcem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).